

Juliano Pavollini

Tłumaczenie: Katarzyna Amborska
qaxa@poczta.onet.pl

Clara prosi, żebym zaczął od dzieciństwa. Zgoda, miałem wszystko, żeby stać się kimś, z wyjątkiem rodziny. Mój ojciec – człowiek szczupły i wyniosły jak pomnik, codziennie czytał Biblię, uczył w szkole i dbał o to, żebyśmy mieli dobrze poukładane w głowach. Kiedyś pomyślałem, że to ja go zabiłem, ale dzisiaj jestem spokojny przynajmniej o to. Życie było dla niego przykrym obowiązkiem, pokutą, od której trzeba się uwolnić, gdy tylko wypełni się ziemskie zobowiązania. Co za udręka być żywym – mówił bez słów każdego dnia, ponury i małostkowy. Niektóre osoby są w dziwny sposób niekompletne.

Zacząłem poznawać ojca od jego dłoni. Mogłem mieć jakieś trzy lata, kiedy siedziałem naprzeciw niego przy długim stole, gdzie on, wyprostowany niczym Chrystus, zajmował miejsce pośrodku, a nie na najważniejszym miejscu, jak ojciec mojego kolegi. Patrzyłem na jego kościste palce i odciski splecione do modlitwy przed obiadem. Powyżej jak we mgle majaczyła twarz ojca, do której mój dziecięcy wzrok domalowywał iskrzące niebieskie oczy okolone ognistą czupryną. Ojciec był naprawdę pięknym mężczyzną, ale ja o tym nie wiedziałem. Modlił się i dziękował Bogu za posiłek, za zdrowie, za teraźniejszość i przyszłość, a w jego dziękczynieniu nie było żadnego tchórzostwa. Ojciec wiedział, o czym mówi, kiedy się modlił. Był blisko Boga, Nieba i Pracy. Wierzył jednocześnie w sprawy doczesne i wieczne. Hodował kury, króliki, uprawiał ogród, udzielał lekcji i czuwał, żeby niczego nam nie brakowało: chleba, snu, dobrych manier, szacunku, odpoczynku i cięgów; a wszystko w odpowiednich proporcjach, jakby budował teoremat geometryczny.

Nie powiodło mu się zbytnio, ale przynajmniej zrobił swoje. Kiedy zacząłem go poznawać (kiedy zacząłem poznawać jego dłonie), miał już za sobą długą przeszłość syna niepiśmiennych emigrantów. Był jednym z tylu braci i sióstr, że sam już stracił rachubę; surowo wychowywany w seminarium, skąd uciekł do pracy w kamieniołomie. Potem kurs korespondencyjny i jakiś wątpliwy

dypłom, kilka lat później, tytuł nauczyciela, też niepewny, w zaniedbanej szkole w miasteczku, gdzie przyszedłem na świat: kilka błotnistych ulic, kościół, biuro rejenta, areszt. No i w tym wszystkim mój ojciec, silny i nieporuszony na swoim wiejskim polu, ze swym terytorium, domem, ogrodem i zwierzętami, które hodował i zabijał, żeby nas utrzymać.

To był mój ojciec. Mężczyzna o przewidywalnych gestach, małomówny, o uczuciach skrytych, ale nie nieobecnych. Pamiętam jego dłonie – wielkie, zdeformowane, o czarnych paznokciach – gdy pakowały nasze skromne prezenty gwiazdkowe w stary kolorowy papier, który mama trzymała pod materacem. Dłonie starannie układające paczki pod śmieszoną choinką w doniczce, przyozdobioną skąpymi kulkami z waty, która miała imitować śnieg, chociaż umieraliśmy z powodu upału. Potem śpiewaliśmy kolędy zebrani wokół stołu nakrytego przez mamę. W końcu jedliśmy do syta, tłumiąc śmiechy wewnątrz naszych świątecznych ubranek, które zakładaliśmy także podczas urodzin. Wszystko to było obowiązkiem, który nasz ojciec – i my – spełnialiśmy z braku czegoś lepszego. Ponieważ ojciec był z natury smutny. Raju miał doświadczyć gdzie indziej, pewnie w Niebie, gdy tylko umrze; do tego czasu spełniał swe obowiązki, małoważne ale konieczne. Jednym z takich obowiązków było okazywanie nam od czasu do czasu czułości – i to jest moje drugie silne wspomnienie: to o dłoniach, prawie wielkości mojej głowy, głaszczących mnie łagodnie albo zabierających nas (mnie i dwie siostry) do sklepiku na rogu, gdzie kupowały nam miętusy i rozdzielały je z salomonową sprawiedliwością.

Inne wczesne wspomnienie o dłoniach ojca wiąże się z laniem, jakie zebrałem. Niewiele razy, ale konkretnie. Nigdy nie lał nas na niby dla samego, powiedzmy, postrachu. Kiedyś lanie było czymś metodycznym, o odpowiednim wymiarze i dużej intensywności. Bił po udach, nie po tyłku. Dlatego za każdym razem, kiedy stłukłem lustro, pogoniłem kury albo nie chciałem się wykapać, na moich nogach pojawiały się czerwone pręgi, które przez długie godziny były widoczne pod nogawkami spodnek. Kiedyś złapał mnie na gorącym uczynku, kiedy ja i dziewczynka z sąsiedztwa rozbieraliśmy się w szopie. Dostrzegłem w oczach ojca błysk, jakąś dziwną satysfakcję, że właśnie za taką rzecz musi mnie

ukarać. Jakby dokładnie w tym momencie jego ziemskie powołanie nabrało prawdziwego sensu.

Szybko pojąłem, że trzeba płakać zaraz po pierwszym uderzeniu. Jeżeli przez upór zaciskałem zęby i nie krzyczałem, razy wzmagały się nie do wytrzymania. Gdy chwilę później odchodziłem kulejąc, piekły mnie uda, a natężony wzrok ojca śledził mnie, jakby chciał dostrzec najmniejszy cień kpiny lub lekceważenia. Jeżeli go wykrył – co sprawdziłem jeden jedyny raz, jego potężny gniew potrafił wyrzucić cały świat do góry nogami.

W krótkim czasie – gdy miałem siedem, może osiem lat – opanowałem do perfekcji wszystkie mechanizmy ojca; jakbym przedwcześnie odkrył jak jest zaprogramowane całe jego życie. Wiedziałem, że taki a taki bodziec wywoła takie a nie inne zachowanie, że taka a taka postawa spowoduje taką a nie inną reakcję; że jeśli będę przeżuwał z otwartymi ustami, on odłoży sztucce i zacznie na mnie patrzeć wyczekująco. To była gra – gra hazardowa. Udawało mi się nawet przewidywać jego słowa. Za każdym razem, kiedy sąsiad bił żonę – *niech mu Bóg wybaczy*, albo kiedy miejscowy pijaczyna zataczał się śledzony przez gromadę wrzeszczących dzieciaków – *ten włóczęga powinien wreszcie wziąć się do roboty*. Było to automatyczne gadanie bez większego przekonania. Przewidywałem sposób, w jaki otworzy gazetę kiwając głową z niezadowolenia – *ci szubrawcy* albo *tacy i owacy*. Cały świat napierał na jego życie. Albo sposób, w jaki całował matkę po powrocie do domu – przelotny pocałunek, pusty i smutny.

Pomimo całej mojej wnikliwości, jedno pytanie na zawsze pozostało bez odpowiedzi: jak zadowolić ojca? Kiedy zacząłem chodzić do szkoły – umiejąc już czytać i pisać lepiej niż moje siostry i, oczywiście, lepiej niż matka, która nigdy nie potrafiła napisać słowa, za wyjątkiem głosowań na przegrywających kandydatów ojca – stwierdziłem, że oto nadeszła moja szansa. W krótkim czasie nauczyłem się czytać książki w twardej oprawie, praktycznie bez ilustracji. Wertowałem też *Wypisy Reader's Digest*, które przychodziły pocztą. Miałem zeszyty wypełnione ćwiczeniami, wiedziałem, że księżniczka pisze się przez „ż” a bohater przez „h”, zapisywałem kolejne strony z myślą o ojcu, ale on zawsze

okazywał niezadowolenie, albo nawet szedł do nauczycielki – lęklivej służbistki z dużymi zębami, domagając się większego rygoru podczas lekcji. W ten sposób jako dziesięcioletek toczyłem walkę o odkrycie mechanizmu ojca dotyczącego tej jednej kwestii: jak go zadowolić?

Nie poddawałem się. To była nauka pełna wzlotów i upadków. Raz postanowiłem podjąć wielkie wyzwanie: gdy on pójdzie sadzić ziemniaki, ja będę panem domu. Jednak szereg potężnych cięgow podczas tygodnia wojny zmusił mnie do zmiany taktyki. Ręka ojca była ciężka i bezlitosna niczym ręka Boga. Wielka różnica w porównaniu z kuksańcami i klapsami matki, które znosiłem dla sportu!

Przyjąłem taktykę – zresztą, na całe życie – która nawet jeśli nie rozwiązała problemu, pozwoliła mi na pewien rozejm: kłamstwo. Clara powie, że swoim nieśmiałym uśmiechem, że jej też zdarza się kłamać, że każdy od czasu do czasu kłamie, ale w moim przypadku sprawa urosła do rozmiarów sztuki, wyszukanej i szczegółowo dopracowanej techniki. Zacząłem od niewinnych kłamstewek o bohaterstwie, z jakim przepędziłem z ogrodu wściekłe psy, o pogromieniu kijami szczurów, które potem zakopałem daleko od domu, żeby uniknąć brzydkiego zapachu i osławionej dżumy. Pewnego razu nawet stawiłem czoła złodziejowi, nad ranem kiedy wszyscy spali (patrzcie tylko, jak ciachnął mnie nożem w ramię!) – od takich żenujących bujd, które ojciec zawsze wyśmiewał, przeszedłem do innych, bardziej subtelnych, często opracowywanych z dwu lub trzydniowym wyprzedzeniem. Na początku tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, potem żeby skomplikować życie siostrom. Mógłbym umrzeć szczęśliwy w dniu, kiedy to one zebrałyby lanie. Chciałem zaryzykować i uderzyć w nie bezpośrednio, ale zapłata byłaby diaboliczna, one były diaboliczne, milion razy lepsze ode mnie w osiągnięciu swoich małoszkowych i egoistycznych celów.

Dzięki strategii kłamstw coraz lepiej dopracowanych i wypieszczonych oraz za sprawą doskonałej ekspresji mimicznej i dyskretnego, przekonującego aktorstwa, udało mi się przejść do etapu pokojowych stosunków z ojcem, ale nigdy zadowolić go. W każdym razie nie na tyle, żeby choć raz przebić się

przez jego skorupę i w pełni uszczęśliwić. Do dziś prześladowuje mnie pytanie, czy błąd tkwił w nim, czy też we mnie. A może to nie była wina żadnego z nas? Kto wie, może dowiem się tego od Clary; żeby tylko nie odkryła, że ją również próbuję zadowolić. Zdolność zadowalania to kapryśny talent, a gdy zawiedzie, rodzi się poczucie winy.

Wina była kolejnym wszechmogącym Bogiem mojego dzieciństwa i prześladowała mnie do niedawna. Nadal nie wiem, czy udało mi się od niej uwolnić. Zdawałem sobie sprawę, że cała Moralność, źródło tortur, pochodzi z zewnątrz, dlatego nie ma nic wspólnego ze mną. Takie rozumowanie wydaje się proste – ale jest na równi bezużyteczne co błędne. Inni mają na mnie wpływ. Tak naprawdę, krzyżyki nie budziły we mnie strachu czy poczucia winy – choć na każdej ścianie wisiał jeden; może właśnie w tym tkwił błąd? Tym co napępniało mnie strachem w samotności okresu dojrzewania, była owalna fotografia wisząca na ścianie w saloniku. Pewnie znasz, Claro, ten rodzaj kiczowatych niebieskawych fotografii z połączanymi brzegami. Wisiały zawsze w domach prostych ludzi. Chłopska para małżeńska: ojciec w ciemnym garniturze, a matka w kwiecistej bluzce, z nienaturalnie wykręconą szyją. Za nimi pokrowiec na garnitur, jeżeli obiektyw zdołał go uchwycić. Oboje praktycznie bez twarzy, zaledwie różowe plamy, ordynarna czerwień na ustach, brwi skorygowane przez fotografa stępionym ołówkiem. Mieli ponure spojrzenie i sprawiali wrażenie, jakby ktoś ukarał ich na wieczność – smutni, przeraźliwie smutni na śmiesznie upozowanym zdjęciu. Zamyśleni patrzyli gdzieś w pustkę przed siebie, a nie na nas. W tym połączanym owalnym okienku siedzieli moi rodzice, na niebieskim tle tak sztucznym, że nie spotkasz go nigdzie w przyrodzie. Na ich twarzach nie było zmarszczek i nigdy nie miały się pojawić. Bez gestów i bez troski na wskroś przeniknęli moje dzieciństwo, z tą swoją niezdecydowaną surowością, absurdalni, nierealni. Mama przywiązywała dużą wagę do tych dwóch postaci i dbała o nie codziennie, gdy tylko odkurzyła figurki świętych w kościele.

Tak, bałem się ich. Ta fotografia albo mówiąc ściślej, obrazek, to była moja pierwsza Moralność. Zawsze kiedy siedziałem w saloniku, wpatrywałem się w nich. Pamiętam, że co najmniej raz rozmawiałem z nimi, ale ta modlitwa

nie trwała długo i była raczej odwrotnością modlitwy, litanii przeciw Świętym z obrazka. Nie potrafię określić, na ile moja szczególna niechęć do niego jest rzeczą nową, dzisiejszą, ale to nieważne. Jeżeli nawet jest niedawna, to już wtedy kiełkowała we mnie przygotowując sobie grunt. Jedna cecha szczególnie rzucała się w oczy z tego zdjęcia: ubóstwo. Moi rodzice byli biedni i ta prawda ujawniała się na ścianie; ubóstwo całkowite, smutne i wieczne. Stanowili dokładne przeciwieństwo bohaterów z bajek, którzy żyli długo i szczęśliwie.

Kiedy teraz patrzę wstecz, ich ubóstwo było stosunkowo – jeśli można tak powiedzieć – zasobne. Ale wtedy byłem dzieckiem i wszystko porównywałem, człowiek uczy się na zasadzie porównań. Miasto rozrastało się, nadchodziła era postępu: samochody, lodówki, założenie stolicy. Wrzało na całym świecie, tylko mój ojciec się nie zmieniał, jak skała wystawiona na działanie czasu. *Nigdy* nie mógłby zostać bogaty – a ja już jako piętnastolatek wertowałem *O Cruzeiro*, uświadamiając sobie stopniowo, że jestem skazańcem. Fotografia – zamrożony wycinek starych czasów, nadal wisiała na ścianie w saloniku, podczas gdy w życie wdzierały się samochody, drapacze chmur w São Paulo, samoloty na niebie, asfalt na drogach; a ja traćłem to wszystko, chodząc na niedzielne msze, skubiąc kury, nawożąc ogród i znosząc humory wszystkich wokoło. Na kogo miałem wyrosnąć? Na nikogo. Mój ojciec o tym wiedział i napełniało go to smutkiem. Zaliczyłem dwie czy trzy ucieczki z domu i odpowiednią ilość ciągów. Wściekłość ojca ciągle rosła, ale zaczynał przegrywać wojnę.

Wściekłość ta dotyczyła mnie, a coraz częściej i całego świata. Stąd pewnie jego pośpiech do śmierci. Uważam, że atak, który go zabił, był dziwnym rodzajem samobójstwa. Ojciec nie był zaprogramowany do życia na naszym świecie, przemiany były śmiertelne. Pamiętam pojawienie się kuchenki gazowej i moją siostrę, która po raz pierwszy zapaliła płomyk. Matka jednak nadal używała starego pieca do momentu, kiedy definitywnie odmówiłem rąbania drewna. Z lodówką zwlekała jeszcze dłużej: to niezdrowe, takie zimne powietrze prosto w twarz za każdym razem, kiedy się otwiera lodówkę. Aby ją zakupić – i grzejnik elektryczny, froterkę, wentylator i młockarnię – ojciec

wyprzedawał ziemię kawałek po kawałku. Stawał się coraz biedniejszy w oczekiwaniu na nędzną emeryturę nauczyciela bez dyplomu, teraz już również bez lekcji, pieczętującego papiery w sekretariacie, podczas gdy w stolicy młodzi spryciarze obstawiali posady w znaczącym już wtedy Instytucie Edukacji.

To było pod koniec lat pięćdziesiątych – dotąd wytrzymało tchnienie ojca. Miasto, którego on był nieomal założycielem, rozwijało się jako ważny węzeł komunikacyjny, podczas gdy tereny ojca kurczyły się tak samo jak pieniądze. W końcu stracił wszystko, nawet dzieci, bo wystarczyło spojrzeć na mnie, żeby wiedzieć, że już nic ze mnie nie wyrośnie. Jeśli chodzi o córki, dziewczyny już z racji swej natury do niczego się nie nadają. Wyobrażam sobie ojca, jak wstępuje do Nieba, bo jeśli Bóg istnieje, to ojciec siedzi teraz u Jego boku, popija kawę i czyta stare gazety. Jest poirytowany opóźnieniem, z jakim się stąd uwolnił, a potem uśmiecha się zażenowany widokiem procesji głupich zniewieściałych aniołów. Ojciec z pewnością zdążył już wytknąć wszystkie wady Raju i posmutnieć po spotkaniu z Chrystusem – i co, potrzebny mi On? I musiał się rozczarować Marią Dziewicą, to pewne, że kolejny raz został oszukany i poczuł największą z trwóg – trwogę w obliczu wieczności. Lepiej byłoby już umrzeć naprawdę, niż przenosić się dokądkolwiek, niebo to oszustwo, a ojciec w nim – bez szans na ocalenie.

Ojciec zmarł niespodziewanie o poranku. Leżał z otwartymi oczami skierowanymi w stronę sufitu. To był ponury świt. Nie ze względu na ojca, ale na nas. Myślę, że mama po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat nie zrobiła kawy i nie nakryła do stołu jak co dzień. Ja i siostry zbieraliśmy się do szkoły, ale coś było nie tak. Matka wyszła z sypialni, nie powiedziała nic ani nie płakała. W tamtej chwili cała jej apatia osiągnęła punkt kulminacyjny i przeszła w kompletne odrętwienie. Niepewny, wszedłem do pokoju. Ojciec leżał wpatrzony w sufit niewidzącymi oczyma, ręce miał skrzyżowane na piersi jak do modlitwy.

– Tato.

Wyciągnąłem dłoń, żeby sprawdzić to, co już wiedziałem. Jego ręka, twarz, czoło były zimne, ale nie przestraszyłem się. Siostry przyłgnęły do mnie, przelęknione jak w muzeum figur woskowych. Nikt nie zapłakał. W pierwszej

chwili nie było bólu. Jakaś dziwna pustka zaczynała ogarniać mnie, nas i rozlała się na cały dom w ciągu sekundy – i już na zawsze.